



MEANDER

ROK LXXX 2025: s. 35–43
ISSN 0025-6285
DOI: 10.24425/meander.2025.157180

MAREK STAROWIEYSKI
e-mail: m.starowieyski@mkw.pl
Instytut Filologii Klasycznej, Uniwersytet Warszawski

ZACZĘŁO SIĘ OD „MEANDRA”...*

IT BEGAN WITH “MEANDER”...

Streszczenie: Ks. prof. Marek Starowieyski opowiada o swoim życiu ze szczególnym uwzględnieniem momentów, w których zaznaczał swą obecność w nim „Meander”.

Słowa kluczowe: „Meander”; badania nad starożytnością w Polsce

Summary: Rev. Marek Starowieyski, Professor Emeritus of the University of Warsaw, narrates about his life, with the emphasis on the presence therein of “Meander”.

Keywords: “Meander”; Classics in Poland

* Por. M. Starowieyski, *Ocalić od zapomnienia... Wspomnienia 1937–1974*, Petrus, Kraków 2025, s. 144–165; 227–244



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła. Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>

Gdy w 1950 roku wstępowałem do klasy ósmej liceum im. Oswalda Balzera w Zakopanem, wybrałem klasę „b” z łaciną, jako że już wtedy myślałem o kapłaństwie, a wówczas wszystko w Kościele było po łacinie. Łaciny uczył pan Cikowski, uczył chyba źle, bo popełniał ten sam błąd, który popełniają często uczący języka: nie nauczył nas, jak go trzeba się uczyć. Podręcznik był nudny, gramatyki nie było. Podsumowaniem tego roku była trója z łaciny i opinia pana Cikowskiego:

– Ty, Starowieyski, byłbyś dobrym filologiem, gdyby wszystkie rzeczowniki były w mianowniku liczby pojedynczej, a czasowniki w pierwszej osobie tejże samej liczby.

Natomiast historię starożytną prowadził wspaniale, powiem – porywająco. Kuliśmy ją, chwaliliśmy się jej znajomością, urządzaliśmy na pauzie licytacje wiadomości na przykład o Aleksandrze Wielkim lub o triumwiratach. Podręcznik obowiązujący był autorstwa Miśzulina, więc uczył: „W podręczniku jest tak a tak, a prawdziwie jest tak a tak”. Historię znaliśmy naprawdę świetnie i to było podstawą dobrego stopnia, gdy na filologii zdawałem egzamin z historii starożytnej u sławnej „piły”, profesor Biezuńskiej.

W następnym roku przenieśliśmy się do Sosnowca i tam trafiłem także do klasy „b”, w liceum im. Stanisława Staszica. Tam łaciny uczyła romanistka, pani Polańska. Tu stopniowo zacząłem „godzić się” z łaciną, jako że skończył się koszmar *cumów* i *coniunctiwów*, a zaczęła się literatura: Cezar, Liwiusz, a potem, gdy już zupełnie byłem pogodzony, przyszedł Katullus, Owidiusz, Lukrecjusz i w końcu Horacy.

Ale wtedy nastąpiło coś również bardzo ważnego, i to poza szkołą.

Ponieważ często wyjeżdżałem, choćby do Stalinogrodu (tak, bo wtedy nie było Katowic!), w kiosku na dworcu zauważyłem intrygujący tytuł: „Meander”; pomiędzy „Trybuną Ludu”, „Żołnierzem Wolności” i „Sztandarem Młodych” niezmiennie leżał nieruszony w tym samym miejscu. Tytuł klasyczny pośród tytułów bynajmniej nie klasycznych mnie zaintrygował i postanowiłem go kupić: w pierwszym przeczytanym przeze mnie artykule niejaki Tadeusz Sinko wykazywał, że *Oda do młodości* ma swe źródła u jakiegoś greckiego poety¹. Przeczytałem inne artykuły, mniej lub więcej rozumiejąc (zazwyczaj mniej!), i zacząłem regularnie kupować „Meandra”, co wzbudzało entuzjazm pani z kiosku, bo nie musiała go odsyłać, a potem nawet rezerwowała go dla mnie.

A więc dziesiąta i jedenasta klasa to była lektura tekstów klasyków na lekcjach, a poza nimi doczytywałem innych w tłumaczeniach: kiedy w „czynie społecznym” pojechaliśmy do PGR-u w Drygach koło Ełku, w plecaku miałem *Iliadę* i *Odyseję* w wydaniu Biblioteki Narodowej, które czytałem na sianie odpoczywając po plewieniu ziemniaków.

¹ Por. G. Pianko, *Mickiewicz a świat starożytny*, Meander 4, 1949, s. 473 (omówienie ustaleń Sinki).

1954 rok, matura. Wybór był dla mnie jasny: seminarium. Ale Mama protestowała:

– Jesteś za smarkaty na taką decyzję – miałem siedemnaście lat! – skończ najpierw studia!

Miała rację. Rozwahałem dwie możliwości: polonistykę (do której zachęcali mnie szkolni poloniści) i klasykę. Wybrałem klasykę, co wywołało sensację w szkole, bo jak Staszic Staszicem, wszyscy normalni uczniowie szli po maturze na politechnikę do Gliwic lub na medycynę do Rokitnicy, nikt nie splamił się takim przedmiotem! Profesor fizyki, który widział we mnie fizyka, jako że kiedyś rozwiązałem jakiś problem teoretyczny (a nie wiedział, że ściągałem od kolegów zadania z fizyki), oburzony wyborem stwierdził, że przymiotnik „głupi” stopniuje się: „głupi, idiota, filolog klasyczny”. Ale ja już wtedy twardo stałem przy Wergiliszu, Homerze i Cezarze, i nie dałem się złamać.

Warszawę wybrałem, bo miałem tu oparcie w rodzinie. Egzamin zdałem, zdaje się, że raczej kiepsko, ale że było nas troje kandydatów, dostałem się bez problemu mimo brzydkiego pochodzenia (reakcyjnie ziemiańskiego!).

Pierwsze tygodnie. Zakład filologii na drugim piętrze budynku na prawo od dawnej biblioteki, jakże przytulny. Pierwszy pokój asystencki, gdzie królowała woźna, pani Irena, dalej wielka sala wykładowa ze ścianami zastawionymi książkami – tam przy oknie miałem stolik, przy którym popołudniami mogłem czytać, dalej gabinet profesor Winniczuk, następnie adiunktów i w końcu gabinet profesora Kumanieckiego – królestwo dla nas niedostępne – i tak zwane I Seminarium – gabinet profesora Krokiewiczza.

Zaczęły się zajęcia, ale na początku czekała nas frajda: sesja arystofanejska, na którą zwolniono nas z wykładów. A na niej cały filologiczny areopag: Sinko, Kumaniecki, Winniczuk, Brożek i wielu innych, znanych mi z „Meandra”. Sesja zaś przybrała istic arystofanejski charakter, jako że referentów komentował senior filologów, profesor Sinko, i to w ten sposób:

– Panie Oświęcimski, a kuku!

A gdy profesor Brożek próbował go spacyfikować i zaczął referat słowami:

– Pan profesor Sinko powie mi zapewne, że się na Arystofanesie nie znam – z miejsca replikował Sinko:

– Tak, tak, ty się, Mietek, na nim zupełnie nie znasz!

Pierwszy rok był bardzo ciekawy, choć ograniczono wykłady klasyczne: greki było pięć godzin, marksizmu-leninizmu sześć! Profesor Winniczuk trzymała nas porządnie za twarz, grzecznie i uprzejmie wbijała nam do głowy warsztat filologa klasycznego, co w przyszłości okazało się bardzo pożyteczne. Inni też byli wymagający, choć wykłady były znakomite, na przykład kandydata nauk Oktawiusza Jurewicz (tak! – wtedy wprowadzono ten tytuł radziecki, z czego się zresztą szybko wycofano) czy profesora Michałowskiego – w ciemnej sali komentował rzeźby lub zabytki architektury greckiej, waląc kijem dla zmiany przeźrocza. Z egzaminów najtrudniejszy był ten z historii starożytnej u pani Biezuńskiej, gdzie mimo obkutego materiału niemalże oblałem. Padło pytanie o źródła do historii starożytnego Wschodu, miałem je świetnie obkute, wyliczyłem wszystkie, a pani Biezuńska z uśmiechem:

– A jeszcze.

Wyciągnąłem więc z głowy wszystkie tabliczki, a ona:

– A jeszcze.

Padłem.

– Nie wiem – i szykuję się do wyjścia, a ona śmieje się na głos:

– Proszę pana, jeśli pan wie o kilkudziesięciu kolekcjach tabliczek, nie uwierzę, że pan nie słyszał o Hammurabim!

I egzamin potoczył się dalej, bez problemów. Gorzej poszło koleżance, która wkuła na pamięć podręcznik Siergiejewa (około sześciuset stron!), co stwierdziwszy pani Biezuńska popłatała jej strony – i tak Aleksander Wielki stał się dowódcą w wojnie peloponeskiej, a Protagoras nauczycielem Talesa, a biedaczka wyleciała z hukiem z egzaminu. Z egzaminem u profesora Michałowskiego były problemy, bo był nieuchwytny. Więc zmobilizowawszy profesor Winniczuk zaczęliśmy łowy z nagonką; gdy go dopadliśmy, pani Winniczuk zablokowała odwrót i profesor musiał przystąpić do egzaminu, który zresztą miło wspominam. Marksizm zdałem na piątkę i profesor mi gratulował (nie wiedział, co czyni!).

Z profesorem Krokiewiczem piąty rok czytał Homera. Otóż jedna z koleżanek pomyliła się w heksametrze, Krokiewicz warknął. Gdy speszona pomyliła się powtórnie – warknął głośniej. Gdy zaś trzeci raz źle przeczytała, Krokiewicz wałnął pięścią w stół i huknął:

– Jak czytasz, babo!

I przeraził się, i wszyscy się przerazili, i do końca godziny przeproszał, a potem gdy ją spotkał, przeproszał ponownie (raz nawet słyszałem). Ale choć idealnie wychowany, profesor Krokiewicz nie mógł zrozumieć, że Homera można przeczytać z błędem...

Rok pierwszy zaliczyłem i byłem naprawdę zadowolony z wyboru.

Ale był rok 1955 i zbierały się chmury: kardynał Wyszyński był aresztowany, seminaria duchowne zagrożone w swoim istnieniu. Klasyki nie skasują, ale seminarium tak. A więc przerwałem studia. Pożegnanie z klasyką było bardzo ciepłe, doktor Szelest powiedziała:

– Jako filolog się martwię, jako katoliczka cieszę.

Obiecałem sobie i wszystkim, z którymi się żegnałem, że wrócę.

Był to okres liturgii po łacinie i łaciny w seminarium nie brakowało, a greka była obecna w związku z Nowym Testamentem. Na trzecim roku była patrologia – wykładana nudnie, egzamin to była „książka telefoniczna” pisarzy kościelnych, a podręcznik patrologii księdza Czuja atrakcyjny nie był, niemniej jednak raz po raz zaglądałem do tych Ojców Kościoła, w końcu pisarzy greckich i łacińskich.

Święcenia otrzymałem 26 czerwca 1960 roku; przed katedrą stała z kwiatami profesor Winniczuk, z którą utrzymywałem kontakt przez cały czas seminarium

Po święceniach podjąłem pracę w parafii w podwarszawskim Józefowie, a po dwóch latach prosiłem o pozwolenie na kontynuowanie studiów. Otrzymałem je, ale we wrześniu, tak że nie było kim mnie zastąpić w parafii. Musiałem połączyć studia oraz pracę w parafii, czyli około 25 godzin katechezy, przygotowanie 360 dzieci do I Komunii: trzy dni w parafii plus niedziela, trzy dni na uniwersytecie. Pierwszy rok miałem zaliczony, trzeba było podjąć rok drugi – najtrudniejszy w tamtym czasie. Kułem więc słówka do Ksenofonta w przerwach między katechezą lub też tłumaczyłem Katullusa, a w pociągu czytałem literaturę łacińską. Rok był bardzo trudny, zaliczyłem go, jednak zostały jakieś lektury.

Potem już było z górki. Mieszkalem w Nowej Wsi pod Warszawą, tylko sobota zajęta katechezą. Mogłem spokojnie studiować. I wtedy, na trzecim roku, profesor Winniczuk dała nam tematy do wyboru referatu: wybrałem temat „Kobiety w *Eneidzie*”. Miesiąc

siedziałem w *Eneidzie*. Po ponadgodzinnej ekspozycji, a po niej żywej dyskusji, pani Winniczuk kazała mi poczekać. Spodziewałem się najgorszego, choć uważałem, że praca nie była najgorsza. A ona na to:

– Praca będzie wydrukowana w „Meandrze”. Proszę za dwa tygodnie przygotować tekst.

Mnie zatkało:

– Ale to się nie nadaje!

– Czy się nadaje, czy nie, ja decyduję.

– Ale jestem dopiero na trzecim roku.

– Jak ksiądz nie zacznie drukować na trzecim roku, to ksiądz doktor też nie będzie drukował. Za dwa tygodnie, czekam – i wyszła trzasnąwszy drzwiami (to trzaśnięcie jeszcze brzmi mi w uszach!).

Praca się ukazała² i widziałem niedawno, że ktoś ją cytował. I tak stałem się pierwszym feministą wśród filologów klasycznych! Potem opublikowałem w „Meandrze” jeszcze kilka drobnych artykułów, między innymi związanych z recepcją Wergiliusza.

Na czwartym roku stanęły przede mną dwa pytania, pierwsze fundamentalne: czym mam się zajmować jako ksiądz-filolog, drugie – pochodne i praktyczne: u kogo i o czym pisać pracę magisterską. Poszedłem do profesora Kumanieckiego, który sprawę postawił jasno:

– Księżu dobrodzieju, niech ksiądz zostawi spokojnie Wergiliusza i Cyserona, my to zrobimy lepiej, niech się ksiądz zajmie Ojcami Kościoła, bo my na tym się nie znamy.

I miał rację. To była też odpowiedź na pierwsze pytanie. I przypomniałem sobie, jak to profesor Kumaniecki zwiedzał starodruki Biblioteki Seminaryjnej, oglądał wolumina Ojców i opowiadał o ich wydawcach w Bazylei i Wenecji w XVI wieku. Tak, to jest droga. Profesor polecił mnie magistrowi Tadeuszowi Brzostowskiemu, człowiekowi o wielkiej wiedzy, który mi zaproponował temat o Izydorze – w języku polskim była o nim tylko jedna praca, o liturgii, nie było wydań ani opracowań. Udało mi się ściągnąć z zagranicy wydanie Lindsaya i opracowania Jacques’a Fontaine’a (co było wtedy nie lada jakim sukcesem!), i tak powstała praca o gatunkach literackich w *Etymologiach* – też potem drukowana w „Meandrze”³. Musiałem się jednak poduczyć hiszpańskiego, którego nikt nie znał w instytucie. Toteż gdy przyszła do redakcji jakaś praca o hiszpańskich pisarzach, profesor Kumaniecki oddał mi ją do recenzji z uwagą:

– Coś mi się nie podoba.

Mnie natomiast coś przypominała; poszedłem do BUW-u i odnalazłem książkę, z której ją autor słowo w słowo zerznął.

Gdy oddałem profesorowi pracę magisterską, na następne seminarium przyszedł jak struty:

– Księżu dobrodzieju, czy ksiądz ma drugi egzemplarz pracy?

Nie miałem, Kumaniecki przyznał się:

– Zgubiłem pracę.

A praca to dziesiątki cytatów i odnośników i nie tylko: o papier, przebitkę i kalkę nie było wtedy lekko... Wyszedłem z zajęć przygnębiony. Zobaczyła to nasza woźna, pani Irena, i zapytała o powód.

² *Kobiety w Eneidzie na tle historii współczesnej*, Meander 21, 1966, s. 290–309.

³ *Izydor z Sewilli (560?–636)*, Meander 22, 1967, s. 452–466.

– Profesor zgubił pracę.
– Niech się ksiądz nie martwi, to nie pierwszy raz. Zadzwońię do pani profesorowej. Gdy wyszedłem po następnym wykładzie, pani Irena stała rozpromieniona:
– Znalazła się. Czytał ją w przed snem i wpadła pod łóżko – ciekaw jestem, czy ona go uśpiła.

Przyszedł egzamin magisterski. Komisja Kumaniecki-Winniczuk była przewidywalna. Było nas chyba troje. Wszedłem pierwszy: poszło dobrze, Homer i Horacy, i spokojnie wyszedłem. Ale czas mijał i nikt mnie nie wzywał, by ogłosić werdykt. W końcu zawołano mnie:

– Księżę dobrodzieju, egzamin na bardzo dobrze, praca także, ale pracy nie ma.

Na to byłem już teraz przygotowany:

– Pan profesor włożył ją do trzeciej szuflady w biurku.

– To niech ksiądz pójdzie po nią.

Oczywiście była na swoim miejscu. Egzamin miał miejsce rano 24 czerwca 1966 roku, w dniu, w którym w Warszawie obchodzono millennium. Stąd profesor gratując powiedział mi:

– Jest ksiądz dobrodziej pierwszym magistrem drugiego millennium⁴.

Byłem pierwszy, więc wysłano mnie po kwiaty do pani, która stała przed uniwersyte-tem. Powiedziałem, że potrzeba sześć róż, bo jest trzech magistrantów. Pani spojrzała na mnie z pogardą:

– A z czego egzamin?

– Na klasyce.

– To się może ksiądz zna na łacinie, ale nie na kwiatach. Daje się po trzy róże, a więc nie sześć, ale dziewięć.

I tak wyszedłem z egzaminu z nową wiedzą.

Z „Meandrem” wiąże się jeszcze jedna moja przygoda naukowa. Otóż dla pobawienia się przekładaniem przetłumaczyłem na polski listy Eneasa z Gazy i wydałem w „Meandrze”⁵. Jakiś filolog australijski pisząc do encyklopedii artykuł o Eneaszusie musiał ten przekład zacytować, bo obok włoskiego był jedyny. Ale jak rozwiązać moje „M.”, stojące przed nazwiskiem? Znalazł nazwisko mojej ciotki, pisarki, Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, i okazało się, że autorem przekładu jest Morstinowa Starowieyski!

Jeśli chodzi o wykłady, to na pewno świetny był wykład profesora Kumanieckiego o kulturze rzymskiej i jego seminarium, gdzie czytaliśmy *De oratore* Cycerona, którego wtedy profesor wydawał. Dostawaliśmy plik fotokopii rękopisów i po kilka wierszy do opracowania. Dyskusje były gorące, a profesor umiał się przyznać do błędu lub przyznać rację komuś z nas. Łacinę znał świetnie: pamiętam, jak kiedyś po łacinie na jakimś międzynarodowym zjeździe opowiadał o okropnościach powstania. Ciarki chodziły po plecach. Podobnie z greką: gdy kiedyś poproszono go, by przemówił po grecku, zapytał:

– W jakim dialekcie?

⁴ O profesorze Kazimierzu Kumanieckim por. M. Starowieyski, *Amicus inter amicos*, [w:] id., *Nowe spotkania i wędrówki*, Petrus, Kraków 2018, s. 68–78.

⁵ *Eneas z Gazy i jego listy*, Meander 28, 1973, s. 1–22; 93–108.

Zapisałem się na wykład docent Świderkówny o papirologii. Była nas niewielka, ale bardzo aktywna grupa, bo pani docent prowadziła wykład, ale i czytanie papirusów, i chętnie odpowiadała na pytania. A że ją dociskaliśmy, postanowiła jednak trochę ukrócić różki i pewnego dnia na koniec wykładu rozdała nam fotokopię papirusu, i uśmiechając się poleciła, byśmy go odczytali na następny wykład. A papirus to była wielka dziura oraz kilka słów na górze i kilka na dole. Postanowiliśmy sprzedać skórę drogo i od razu zabraliśmy się do roboty. Udało się nam odczytać kilka słów na górze, dwa czy trzy były znane, ale jedno nieznane. Sięgnęliśmy do niezawodnego Liddella-Scotta i okazało się, że to jest *hapaks legomenon*, a występuje u któregoś z poetów aleksandryjskich. Wzięliśmy jego wydanie u Teubnera, porównaliśmy pierwsze i ostatnie słowa papirusu oraz możliwą liczbę liter w dziurze: wszystko się zgadzało. Przepisaliśmy tekst, przećwiczyliśmy wspólne odczytanie i gdy na następny raz pani docent ironicznie zapytała, jak nam poszła lektura, chórem wyrecytowaliśmy tekst. Trzeba było widzieć jej minę. Wyjaśniliśmy, jak do tego szliśmy. Głęboko westchnęła:

– Zabraliście mi wykład, miał być o tym, co zrobiliście.

Nie myślałem wtedy, że za kilkanaście lat wydamy wspólnie polski przekład Ojców Apostolskich⁶.

O mojej pracy o Izydorze dowiedział się ojciec Szymusiak, SJ, który przygotowywał *Słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa*, i zaproponował mi napisanie artykułu o Izydorze, potem o Ojcach hiszpańskich, a w końcu współredaktorstwo *Słownika*. W ten sposób musiałem przeczytać krytycznie wszystkie hasła – był to świetny kurs patrologii⁷.

Teraz przyszła kolej na teologię, trzeba było zrobić z niej licencjat kościelny. Pisałem pracę z biblistyki typowo filologiczną: analiza dwóch terminów greckich w liście św. Pawła do Koryntian (drukowaną później w „Eos”⁸). Po tych sukcesach naukowych władze kościelne postanowiły mnie wysłać na dalsze studia do Rzymu. Ale na jakie? Dla mnie sprawa była oczywista: na patrologię. I tu powtórzyła się sytuacja ze szkoły: nigdy nikt z Polski nie wyjeżdżał na studia patrologiczne; na Biblię, dogmatykę, prawo – tak, ale na patrologię? Ale ksiądz kardynał Wyszyński poparł jednak moje stanowisko i z poleceniem zrobienia doktoratu z patrologii na Gregorianie pojechałem do Rzymu.

Barwnej historii zdobywania w tych czasach paszportu, wiz i biletu tu nie będę opisywał, podróży także, a jednak już niedaleko Rzymu ujrzałem z okna pociągu charakterystyczny garb góry Soracte i stojąc w oknie ekspresu Wien Hauptbahnhof – Roma Termini wyrecytowałem:

⁶ Por. M. Starowieyski, *Pani Profesor, czyli Ateny i Jerozolima*, [w:] Anna Świderkówna. *Z Aten do Jerozolimy – wspomnienia przyjaciół*, Wydawnictwo Benedyktynów Tyniec, Tyniec 2013, s. 101–111 (przedruk w: id., *Nowe spotkania...*, s. 79–86). Wspólne wydanie Ojców Apostolskich: *Pierwsi świadkowie. Pisma Ojców Apostolskich*, przeł. A. Świderkówna, wstęp i oprac. M. Starowieyski, Wydawnictwo M – Wydawnictwo Diecezjalne, Kraków – Sandomierz 1998.

⁷ J. M. Szymusiak, M. Starowieyski, *Słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa*, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1971 (Starożytna Myśl Chrześcijańska 2) (wyd. II, przepracowane i uzupełnione: M. Starowieyski, J. M. Szymusiak, *Nowy słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa*, Wydawnictwo św. Wojciecha, Poznań 2018).

⁸ ΠΕΡΙΚΑΘΑΡΜΑ et ΠΕΡΙΨΗΜΑ. *Przyczynek do historii egzegezy patrystycznej*, Eos 78, 1990, s. 281–295.

Vides ut alta stet nive candidum
Soracte...

i genialny przekład Tuwima. Był 4 października i Soracte nie było *nive candidum*, ale błyszczało złotem jesieni.

Jakież było jednak było moje zdumienie, gdy po moim przybyciu do Rzymu się okazało, że ani na Gregorianie, ani na innym rzymskim uniwersytecie papieskim nie ma studiów patrologii; to znaczy wszędzie jest jeden czy dwa wykłady patrologii, ale nie ma specjalizacji. By więc zaliczyć pięć wykładów obowiązkowych na kursie doktorskim, i to z Ojców Kościoła, musiałem wybrać dwa na Wydziale Teologicznym Gregoriana, jeden w Instytucie Historycznym, jeden w Instytucie Orientalnym i jeden na Biblicum. I kiedy już pracę doktorską z patrologii miałem napisaną, otwarto w Rzymie instytut patrologiczny „Augustinianum”, gdzie później wykładałem aż do emerytury.

Pracę obroniłem na Gregorianie: jako jeden z ostatnich całe studia i egzaminy odbyłem po łacinie, także wykład i obronę doktorską miałem po łacinie. Przygotowałem nawet kilka kawałów po łacinie i świetnie się bawiłem obserwując, kto kiedy się śmiał: natychmiast czy dopiero potem je zrozumiał. A na egzaminie doktorskim jeden z profesorów, postrach na egzaminach, zażądał, bym odpowiadał po włosku, ja się nie zgodziłem, a wtedy on na znak protestu zrezygnował z głosu. Dzięki łacinie wyeliminowałem największą żołąć egzaminacyjną.

Jeśli jednak studiowałem Ojców Kościoła, a więc pisarzy chrześcijańskich, i starałem się pilnie odwiedzić miejsca, gdzie żyli i pracowali, to nie zapomniałem o drogich klasykach: idąc przez forum *Sacra Via* myślałem o natręcie Horacjańskim⁹; do Kartaginy wybrałem się z Wergiliuszem¹⁰; sprawdzałem, czy Venosa jest naprawdę *inaquosa*¹¹ oraz czy *fons Bandusiae* jest ciągle *splendidior vitro*¹²; czy *Sulmo* jest jeszcze *gelidis uberrimus undis*¹³, ale w Mantui nie znalazłem śladów tego, co pisał: *Mantua me genuit*¹⁴. Pod pomnikiem Owidiusza w Konstancy myślałem o smutnym losie zesłańca, który był *tene-rorum lusor amorum*¹⁵; w Syrii podziwiałem drogę rzymską prostą jak strzała tnącą pustynię, a pod Tarragoną – Pont del Diable, wspinały akwedukt rzymski.

Ojcowie Ojcami, tak, ale aby zrozumieć głębię i piękno zarówno ich prozy, jak i poezji, ale także ich teologii, trzeba najpierw poznać piękno klasyków pogańskich, greckich i rzymskich. W zorganizowanej przeze mnie bibliotece patrystycznej w Warszawie jest dziesięć regałów autorów klasycznych, dwa regały słowników oraz gramatyk greckich i łacińskich, a wśród czasopism króluje – oczywiście – komplet „Meandra”. Bo bez klasyków nie zrozumiemy późniejszej literatury chrześcijańskiej, obojętnie – greckiej czy łacińskiej, bizantyńskiej i średniowiecznej łacińskiej.

⁹ Por. Hor. *Sat.* I 9.

¹⁰ Por. Verg. *Aen.* IV.

¹¹ Por. Hor. *Carm.* III 30, 11–12.

¹² Por. *ibid.*, 13, 1.

¹³ Por. Ov. *Tr.* IV 10, 3.

¹⁴ Por. Verg., fr. 2 Courtney.

¹⁵ Por. Ov. *Tr.* IV 10, 1.

Argumentum

Reverendus Marcus Starowieyski, professor Instituti Philologiae Classicae Universitatis Varsoviensis emeritus, narrat de sua vita, in qua non exigui momenti partes „Maeander” agebat.

Bibliografia

- Pianko, G., *Mickiewicz a świat starożytny*, Meander 4, 1949, s. 463–481
- Starowieyski, M., *Kobiety w Eneidzie na tle historii współczesnej*, Meander 21, 1966, s. 290–309
- Starowieyski, M., *Izydor z Sewilli (560?–636)*, Meander 22, 1967, s. 452–466
- Starowieyski, M., *Eneasz z Gazy i jego listy*, Meander 28, 1973, s. 1–22; 93–108
- Starowieyski, M., ΠΕΡΙΚΑΘΑΡΜΑ et ΠΕΡΙΨΗΜΑ. *Przyczynek do historii egzegezy patrystycznej*, Eos 78, 1990, s. 281–295
- Starowieyski, M., *Pani Profesor, czyli Ateny i Jerozolima*, [w:] Anna Świderkówna. *Z Aten do Jerozolimy – wspomnienia przyjaciół*, Wydawnictwo Benedyktynów Tyniec, Tyniec 2013, s. 101–111 (przedruk w: id., *Nowe spotkania i wędrówki*, Petrus, Kraków 2018, s. 79–86)
- Starowieyski, M., *Amicus inter amicos*, [w:] id., *Nowe spotkania i wędrówki*, Petrus, Kraków 2018, s. 68–78
- Starowieyski, M., *Ocalić od zapomnienia... Wspomnienia 1937–1974*, Petrus, Kraków 2025
- Szymusiak, J. M., M. Starowieyski, *Słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa*, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1971 (Starożytna Myśl Chrześcijańska 2) (wyd. II, przepracowane i uzupełnione: M. Starowieyski, J. M. Szymusiak, *Nowy słownik wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa*, Wydawnictwo św. Wojciecha, Poznań 2018)
- Świderkówna, A. (przeł.), M. Starowieyski (wstęp i oprac.), *Pierwsi świadkowie. Pisma Ojców Apostolskich*, Wydawnictwo M – Wydawnictwo Diecezjalne, Kraków – Sandomierz 1998